

Przeciągam się z cichym mruknięciem i niechętnie otwieram oczy. Pospałbym jeszcze, ale w tym hałasie nie da się wytrzymać. Może powinienem się przyzwyczaić, że rano wszyscy krzyczą, jakby chcieli obudzić tych, którzy tu pomarli. Ale skoro nie udało mi się przez tyle lat, to przecież dziś, ani jutro, też się nie uda.

Spoglądam na kolegów z celi. Nawet nie zauważyli, że się obudziłem, ale to żadne zaskoczenie. Tworzyli zgraną paczkę, jeszcze zanim mnie do nich przenieśli – wiem, bo widywałem ich czasami. Nikt nie próbuje do nich podejść, bo już z daleka patrzą wilkiem, a że są wielcy jak byki, potrafią spuścić łomot nieostrożnemu. Nie wiem, jak to się stało, że umieszczono mnie z nimi w celi. W ogóle nie rozumiem, jak trafiłem do więzienia, przecież byłem porządnym facetem. Miałem rodzinę, przyjaciół... Jasne, że czasami spotykałem się z ładnymi dziewczynami, no bo jak tu przepuścić okazję, gdy idzie taka i demonstruje swą kobiecość tak nachalnie, że wszyscy dookoła mało karku nie skręcą oglądając się za nią? Za to chyba nie wsadzają do więzienia?

Właściwie to dziwne, ale odkąd tu jestem, nie mam nawet ochoty patrzeć na ładne dziewczyny. Wiem, że też są więzione, chyba z drugiej strony budynku. Raz widziałem kilka na spacerniaku, ale nie były mną zainteresowane, więc dałem spokój podchodom. Zresztą nie wiem, czy ktoś by mi nie obił pyska, gdyby któraś zwróciła na mnie uwagę. Nie szukam kłopotów, chcę tylko odsiedzieć swoje i wrócić do dawnego życia.

Ponownie zerkam na współwięźniów. Największy z nich, Rysiek, stoi przy kracie drzwi i próbuje wyrzeć na zewnątrz. Ja nie podchodzę, i tak zostałbym odepchnięty w kąt. Więc czekam. Wiem, że zaraz pojawi się ten facet w ciężkich buciorach i brudnej koszuli, rozdysponuje trochę jedzenia i zniknie z mojego życia do kolejnego posiłku. Tak jest co dzień. Dobrze, że przynajmniej nas karmi, choć przyznam, że spacerem też bym nie pogardził. Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni opuszczałem celę. Wrosłem w ten świat za kratami już tak bardzo, że czasem trudno mi sobie przypomnieć twarze bliskich. Nie pamiętam nawet twarzy człowieka, który wtłoczył mnie do zimnej izolatki, a po kilku dniach zabrał do sektora ogólnego, do pozostałych więźniów.

Nie pamiętam już nawet, jak brzmi cisza. Taka prawdziwa, dzwoniąca w uszach. Tutaj zawsze coś się dzieje, zawsze ktoś przynajmniej chrapie, czy pomrukuje. A najgłośniej jest właśnie w porze posiłku. Nie wiem, czy to ze mną jest coś nie tak, czy po prostu oni wszyscy powariowali. A może umarłem i to już jest piekło?

Rysiek odsuwa się od krat i dopiero wtedy zauważam, że Brudna Koszula stoi przed naszą celą. Tym razem jednak nie przyniósł jedzenia. O co, u licha, chodzi?

Spoglądam na niego nieufnie, a on – o zgrozo! – patrzy wprost na mnie. Po chwili dołącza do niego jeszcze trzech obcych mężczyzn. Szczękają klucze, skrzypią rzadko używane zawiasy, a potem któryś z nich łapie i siłą wyciąga mnie z celi. Próbuję walczyć i uciec z powrotem do bezpiecznego lokum. Rysiek i jego banda wcale mi nie przeszkadzają, nie! Ja chcę tu zostać!

Nie mam szans, są silniejsi. Nie podoba mi się to. Zabierają mnie bez słowa wyjaśnienia, najzwyczajniej w świecie ciągną po ziemi, jakbym był workiem kartofli. Nie stawiam już oporu, wiem, że nie wygram. Serce wali mi jakby chciało się wyrwać z wąskiej klatki żeber, gardło zaciska się ze strachu. Mimowolnie dygocę. Nawet nie dociera do mnie wrzawa podniesiona przez pozostałych więźniów.

Przeciągają mnie po schodkach i przez wąskie drzwi, a potem długo czekam w wyłożonym zimnymi płytkami pokoiku. Nie ma mebli ani okna, migająca jarzeniówka jest jedynym dowodem na to, że ktoś tu czasem bywa. Siedzę na podłodze, skulony, z głową nisko między ramionami. Nie wiem, jak długo to trwa, ale gdy już mam wrażenie, że wszystko mi jedno co ze mną zrobią, drzwi się otwierają, a ja łapię się na tym, że odskakuję w tył z nowym lękiem w sercu.

Obcy mężczyzna chwyta mnie i, podążając za Brudną Koszulą, prowadzi labiryntem korytarzy na zewnątrz. Tam, ku mojemu przerażeniu, obydwa wtłaczają mnie do bagażnika zaparkowanego pod płotem auta i zatrząskują kłapę, nim udaje mi się uciec. Znów tracę poczucie czasu, nie mam pojęcia, czy podróż w nieznane trwa dziesięć minut czy trzy godziny. W końcu jednak bagażnik się otwiera, a ja wędruję wąskimi uliczkami, przez zabetonowane podwórko i obsrany trawnik ku

kolejnym drzwiom i kolejnej klatce schodowej. Tam stoję i zapieram się, wrywam ku czekającej na zewnątrz wolności, lecz obcy mężczyzna okazuje się być silniejszy. Coś do mnie mówi, ale nie rozumiem ani słowa, więc walczę z całych sił. Przegrywam.

Schody są wąskie i śliskie, ale bezpiecznie wchodzimy na czwarte piętro. Mężczyzna otwiera drewniane drzwi, a ja nie mam już siły się przeciwstawić. Posłusznie wchodzę za nim i padam na podłogę. Zamykam oczy.

Otwieram je pod wpływem dotyku delikatnej dłoni. Obok mnie klęczy mała dziewczynka, spokojnie głaszcze mnie po głowie.

- Będiesz się nazywał Łatek.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

NN, dodano 19.09.2013 20:00

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.